

Dwutygodnik Literacki

Rok II.

Poznań, 1-go stycznia 1932 r.

Nr. 2.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

STARE PANNY LITERACKIE

(KORRESPONDENCJA WŁASNA „DWUTYGODNIKA LITERACKIEGO“)

NEW YORK, W GRUDNIU 1931.

Byłem sam, a one wszystkie przeciw mnie. Świergotały, jedna przez drugą, wypytując o wrażenia. Głędziły wdzięcznie i przyglądały się z niejakim entuzjazmem przybyszowi z za oceanu, który pierwszym potknięciem się na ziemiach Ameryki trafił w samo ich sedno. W klub starszych panien literackich New Yorku. Nie można powiedzieć, aby cieszyły się w tym sławnym grodzie wzięciem, mam jednak dowody, że darzone są nieprzeciętnie gorącą sympatią redaktorów pism humorystycznych...

legentkę, niżej podpisanemu poświęca kilka ciepłych słów. Odpowiadam na owację rumieńcem z kilku ukłonami.

Tematem zebrania ma być uświadamianie sali o sztuce pisarskiej, czyli jak pisać, żeby było dobrze (z osobistych przeżyć i doświadczeń panny przemawiającej).

Skorzystałem niezmiernie wiele. Okazuje się np., że nie należy pisać zaraz po jedzeniu, wskazane natomiast jest naczczo i skoro świt. Takich i tym podobnych porad dla piszącej niewiasty udzielono mnóstwo. Słuchałem, dziwiłem się i podziwiałem.

Dowiedzieliśmy się potem, czy lepiej jest mieć bohatera w pierwszej czy w trzeciej osobie, — wylczyła wszystkie pro i contra jednego i drugiego systemu.

Wzruszenie moje przeszło jednak zwykłą miarę, kiedy ujrzałem niesłychaną pilność słuchaczek, notujących (co druga mniej więcej) ze skrzyżowanymi rękami i piękną, wszystkie perły nieocenionych rad, spadające, z ust opartej o fortepian wyroczeni, deszczykiem wcale obfi-

tym. Zawzięcie szeleściły uczące się pióra miłośniczek kunsztu pisarskiego.

— My kobiety, mówiła Pytja - Piórowiadczyni (w życiu cywilnym pisze do magazynów opowiadki miłosne — jest zawsze dwoje ludzi cudownie pięknych i nieszczęśliwych, których pod sam koniec zręczna autorka podprowadza ku sobie i łączy długim pocałunkiem albo cieniem pokojem, albo lasem z trzema kropkami i domysłnikiem). My kobiety, powtarza, nie zawsze umiemy się zdobyć na stanowczość w prowadzeniu losów naszych bohaterów. Jesteśmy (coż my temu winne?) miękkie i słabe w wyrażeniu pomysłów, które są czasami (!) świetne. Proponuję następujący sposób: opowiedzieć znajomemu mężczyźnie wymyślony przez nas wątek powiastki, i prosić go, będąc oczywiście w dość z nim zażyłych stosunkach, co powinno się rozumieć samo przez się (moja sąsiadka podkreśliła tę uwagę w swoich notatkach), aby swoimi słowami i tak, jak to odczuł, powtórzył opowiadanie. Można je spisać wtedy i niewiele zmieniając, dać do druku. Powodzenie pewne.

Gwarantuję moim doświadczeniem — zrzekała się wielkim głosem mówiąca.

Byłbym się już wymknął w obawie, że każą mi za chwilę powtarzać własnymi słowami to, com przed chwilą usłyszał, będąc jednak szczerze otoczony wieńcem dzieł piszących, dałem za wygraną — przedrę się innym razem.

Siedziałem nadal, słuchając. Przypomniałem sobie, że kultura Ameryki, według twierdzenia jednego ze znawców, robiona jest w dużej części przez stare panny. Wszyscy inni zajęci są robieniem pieniędzy.

Przerwano na chwilę prelekcyjne uświadamianie. Obsiadły mnie znowu kołem, ani mowy o rejteradzie. Zagadywują, przejęte trudem obowiązków, jakie na siebie razem z drogą pisarskiego żywota przejęły, według słów prelegentki. — Podobno pisze pan o zwierzętach? — mizdrzy się jakieś babsko ogromne i żujące w samotności gumę.

Istotnie — odpowiadam, zdziwiony rozległą skalą zasięgniętych przez nią informacji.

— I ja, niech pan sobie wyobrazi, napisałam niedawno poemat o psie. Jeżeli pan chce, mogę go panu dać. Odeśle mi pan pojutrze, bo będę go potrzebować.

Wręczyła mi list zaadresowany do siebie, ze znaczkiem. Poemat miał być w środku.

— Przeczytawszy, włoży pan zpowrotem do koperty, zalepi i wrzuci do skrzynki.

Nie mogłem odmówić. Schowałem kopertę z poematem.

— Będzie pan może jutro na obiedzie w National Arts Club?

— Co, nie dostał pan zaproszenia? Ależ musi pan być koniecznie. Tu jest zaproszenie, przyjdzie pan po mnie jutro i razem pójdziemy. Odwiedzi mnie pan przy tej okazji, porozmawiamy, przeczytam panu kilka ustępów z nowego opowiadania, jakie napisałam...

— Na herbatę w niedzielę. Będzie trochę osób. Miss Light z Pen and Brush Club'u odczyta kilka wierszy...

— Na śniadanie. Miss Windsor przyniesie rękopis...

Spocilem się z przerażenia. Moja wolność osobista zaczynała stawać się legendą. Rosły niebotyki zaproszeń. Pryskały wszystkie plany zwiedzań, wycieczek, wszystkie perspektywy pobytu, dzielnic murzyńskiej. Nawet więzienie Sing-Sing zaczynał przysłać kosmar straszniejszych znacznie zamachów na swobodę poruszania się w tej nieodkrytej jeszcze wówczas dżungli niesłychanego miasta. Zaciąłem się, zacząłem odmawiać. Stałem się nieublagany i ponury. Można sobie wyobrazić...

Załatwiono się przy mnie tymczasem z Sinclairem Lewisem — niewdzięcznikiem srogim i nieprzyzwoitym, który matkę-Amerykę oczercił przed światem i niegodny jest podania ręki.

— My, Amerykanie — mówiąca wypięła piersi i powiodła wokoło wzrokiem nieomylną pewności swego zdania — nie zgadzamy się z przyznaniem Lewisowi Noblem. Człowiek taki jak on, nie zasługuje wogóle na żadną nagrodę. My, literatura amerykańska, nie pozwolimy...

Równocześnie niemal rozprawiono się z Dreiserem, którego „niemoralność“ w życiu i piśmie nie potrzebuje dalszych komentarzy. Stojąc na straży przyzwoitości publicznej, nie możemy się zgodzić, aby pisarz amerykański popelniał cudzołóstwo ze swoją sekretarką, jak to Dreiserowi udowodniono niezbitnie. Kompromitacja rzekomego luminarza kultury naszej jest w ten sposób przypieczętowana...

Prelekcja potoczyła się znowu kaskadą wynurzeń i wywnężeń doświadczonej panny literackiej. Sypały się rady i recepty, wskazówki na dozowanie uczucia, wykrzyków i westchnień miłosnych. Moje sąsiadki, zaciekle notujące, skrzybiały piórami po papierach. Aż i ja wreszcie straciłem cierpliwość. Wyjąłem pióro i napisałem niniejszą korespondencję. Wyszedłszy, wrzuciłem do najbliższej skrzynki dwie koperty. Druga zawierała poemat o psie.



ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

Jako się rzekło — klub. Wcale świetnie zrobiona atmosfera: przyćmione lampy (nieodpowiedność każdego domu amerykańskiego), amfilada zacisznych saloników z biurkami, z kalamarzami, z herbatą na każde zawołanie. Kanapki, feteliki (znowu przyćmione lampy) — i z powrotem przez zaciszne saloniki, pod rękę niemal prowadzony przez uprzejmą pannę, przyjmującą mnie w imieniu klubu, wiodę się pod obstrzałem spojrzeń tłumnych, nieco drażliwych, ale chętnie krząjących pod uśmiechem zachęcająco miłym.

Przeprowadza mnie leciwa, o bardzo pełnych powabach, panna gospodyni ku salce, nie, ku sali (salki bywają tylko parafjalne), w której większość „niewieścigo kwiatu literatury“ już była się roztasowała, barwnie, gorąco i głośno. Bujna vegetacja talentów w bujnych kształtach. Czuję, że jestem atrakcyjnym momentem zebrania. Ale dzień dzisiejszy nietylko dlatego nie jest dniem jak codzień — za chwilę nastąpić ma odczyt jednej z doświadczeńszych w tym gronie władczyń pióra.

Onieśmieliły mnie pytania i rozgardzajasz ogólny. Wypijam literacką herbatę. Rzucam roztargnione spojrzenia ku głębi mrocznych pokoi, starając się opanować wzruszenie: — Więc to tutaj przeżywają twórcze ekstazy te wszystkie donny piszące? Robi się słabo na samą myśl o tem — popijam tę myśl drugą filiżanką herbaty. Przedstawia się mnie na lewo i na prawo. Usłyszałem już ze sto nazwisk, jedno sławniejsze od drugiego. Ta to pani napisała sztukę, która nie dostała nagrody Nobla. Tamta pisze wiersze i krótkie opowiadania o dzieciach, tytuł ostatniej powiastki brzmi: „Strach“. Trzecia wogóle nie pisze, ale jest w swoich zainteresowaniach niezmiernie literacka. Czwarta, szósta i szesćdziesiąta dziewiąta także władają piórem. Pióra na głowie stawają, gdy się to wszystko musi przeżyć.

Ale się oto już ku fortepianowi przeprowadza wybranka, z prelekcją w ręku. Fortepian stoi na honorowym miejscu, obok zabrała miejsce przewodnicząca, za chwilę nawet zabierze głos. Wprowadza krótkim speech'em (spicz) pre-

WITOLD ZECHENTER.

W jednym egzemplarzu

Najwny jednak był wielce ten nasz wieszcz narodowy, który tak pragnął i za tak nieosiągalne wprost uważał, by księgi jego zblądziły pod strzechy; myśmy prawie wszyscy dożyli tej pociechy — my, którzy piszemy wiersze (o wstydzie!), księgi nasze zblądziły pod strzechy, gdyż wydane w zarwrażającej ilości egzemplarzy tysiąca, po pewnym czasie sprzedane na makulaturę, zblądziły pod strzechy jako dobry papier, który zawierał trzewiki, chleb czy masło i który w wzorowym gospodarstwie jeszcze na niejedną rzecz przydać się może ku chwale wszędzie docierającej poezji.

Przestało się więc wydawać w ilości tysiąca egzemplarzy i zeszło się na pięćset w dziecinnym mniemaniu, że jeśli społeczeństwo posiada trzydzieści milionów jednostek, to pięćset egzemplarzy jak nic się rozjeździe. Ale i to zawiodło. Księgi nasze i w tak szczupłej wydanej ilości także zblądziły pod strzechy.

Zaczęto więc wydawać poezję tylko dla wybranych, co stało w dziwnej sprzeczności z niedawno jeszcze rzuconem i lansowanem hasłem: „Poezjo, na ulicę!“ Zaczęto wydawać wiersze w wydaniach ozdobnych, nad którymi toczyły się rozmowy poetów z typografami; tylko dla bibliofilów. Szalony Jan Kuglin w Poznaniu sądził, że na trzydzieści przeszło milionów znajdzie się stowduziesięciu bibliofilów i że nakłady będą wyczerpywane na pniu. Znalazło się aż piętnastu stałych odbiorców.

Ale kryzys się pogłębia. Kryzys gdzieindziej, n. p. obserwowany przeze mnie jeszcze tak niedawno kryzys francuski, odznacza się tem, że obywatel uszczupla równomiernie swe wszystkie potrzeby; jeżeli przedtem jadał codziennie obiad w restauracji i co tydzień kupował książkę, z racji kryzysu jada obiad co drugi dzień i książkę kupuje tylko raz na miesiąc. U nas inaczej. U nas kryzys odbił się na potrzebach kulturalnych ogółu w ten sposób, że wogóle niema już potrzeb kulturalnych; kawiarnie i restauracje pełne, pełne dancingi; ale księgarnie puste, opery zwinięte, teatry po ciężkiej chorobie wciąż nad przepaścią, departament sztuki zwinięty. Tak przedstawia się kryzys w Polsce.

Co w takim wypadku mają robić ci, którzy faktycznie byli zawsze tylko „dla wybranych“, t. zn. ci nieszczęśliwi, którzy z uporem maniaków piszą wiersze, ubierając w nie treść swego życia i treść współczesności, pamiętając o tem, podświadomie zresztą, że zawsze dusza epoki dokumentowała się najlepiej w poezji. W ilu egzemplarzach należy wydawać wiersze? W dwudziestupięciu? Zblądzą znow pod strzechy!

Nie wiem, czy nie najstosowniejszą formą byłoby wydawać poezję w jednym egzemplarzu; miałoby to tę doskonałą stronę, że nakład byłby zawsze na pniu wyczerpany; wykupiłby go sam autor. Nie jest wykluczone, że zażądałby tomiku wydawca, upom-

niałby się też i cenzor; nakład więc poezji dzisiaj powinien wynosić trzy egzemplarze numerowane od 1—3.

Myśl tę poddaję naszym wydawcom; oczywiście kosztą druku ponosi autor...

Gdyby tak jednak namyśleć się trochę na serio nad tą degrengoladą kulturalną społeczeństwa naszego, wtedy musiałyby się powiedzieć dużo słów sprośnych i obelżywych. Tak niedawno jeszcze, jeszcze kilka lat temu, zbiorek poezji rozchodził się w kilkuset egzemplarzach... Z roku na rok zmniejszały się nakłady, aż doszliśmy do dnia dzisiejszego, do dnia, w którym pięknie wydanych sto książek stanowi tak kolosalny nakład, że mowy niema, ażeby się rozszedł. Czy taki fakt nie jest poprostu policzkiem dla społeczeństwa, które znajduje przeciętnie pieniądze na kawiarnie i dancingi?

I czy można się dziwić poetom, którzy odchodzą od tematów ogólnych, wiedząc, że nikt się nimi nie zainteresuje i przechodzą na lirykę, na poezję egotyczną, centralistyczną, erotyczną, prywatną, gdyż wiedzą, że taką przynajmniej zainteresuje się ta jedna osoba, dla której te wiersze powstają?

Jest jedno, niktle zresztą, wytłumaczenie dla naszego społeczeństwa: odczuwa ono lęk przed poezją, lęk przed nabraniem; niekażdy lubi, by go ordynarnie nabierano, by z niego kpiono. A przez ile lat kpiono w wierszach ze społeczeństwa, które ile lat nabierano czytelnika czy słuchacza „eksperymentami“, które w innych społeczeństwach skończyły się w przeciągu paru miesięcy, pozostawiając za sobą tylko żywotny posiew, u nas zaś trwały latami całemi i czyż w wielu swych postaciach nie trwają jeszcze do dziś?

Przeciętny więc obywatel odczuwa obawę przed wierszem; inna rzecz, że mógł się już tak zorientować, by wiedzieć, gdzie należy a gdzie nie należy się bać. Ale przecież przyszedł kryzys...

Mówi mi jeden młody poeta francuski, przypadkowo poznany na Montparnassie: „Wydalem właśnie książkę — mały nakład, gdyż chcę zrobić wnet drugie wydanie z drzeworytami... „Jaki nakład?“ — zapytuje. „Ach, tylko pięć tysięcy!“

Pięć tysięcy! Tom wierszy młodego poety w pięćdziesiąt egzemplarzy! Szczęśliwa Francjo! Szczęśliwy poeta francuski!

Jak przykro powiedzieć sobie, żeśmy schamiali. Jak przykro pomyśleć, że poezja, dawna mistrzyni życia, dawna formatorka kształtów kulturalnych życia społeczeństw, dziś jest niepotrzebna. Jak to gorzko zdać sobie sprawę z tego, że, by nakład był wyczerpany, trzeba wydawać w jednym egzemplarzu — dla siebie...

Kryzys. Kryzys kultury. Chodźmy na dancing, wstąpiwszy przedtem na czarną do kawiarni; żeby tylko można jeszcze znaleźć stolik, bo wskutek kryzysu tak pełne są teraz kawiarnie...

LIST PROBOSZCZA

Wasza Emilencjo!

Odczytałem z ambony Wasz list pasterski przy zamarłej ciszy braci parafjan (jako, że tak wypada słuchać słów arcybiskupa) — potem, t. j. po ukończeniu czytania, usłyszałem chóralnie: „Panie Boże zapłać!”...

Dowód to niezbity, że wiara w naszym narodzie — mimo furi histerycznych ataków, spazmów, klątw, zaklęć, gróźb i obietnic — przecież żywym płonie ogniem, znacząc świetlistą smugą jednostkom pełnym ducha bożego — jedyną drogę do Postępu, Światła i Prawdy. Bo na końcu tej własnej drogi — stoi świątynia, w której mieszka Bóg.

Wprawdzie inaczej twierdzą ludzie, którzy głoszą, że są uczonymi w piśmie i bez zastrzeżeń rozumiejącymi należycie sprawy człowieczego życia i boskiej nad nim ręki... Według nich Światło i Prawda — a więc Bóg — jest tam, gdzie oni są!

W ich kościele, w ich mieszkaniu, na ich podwórku!

Kto u nich lub przy nich — ten przy Bogu samym! Kto od nich się oddalił — Boga porzucił!...

A jako taki odszczepieniec na stos iść powinien! Wprawdzie poniechano pięknej tradycji wieku XVII (zginie naród, który nie szanuje tradycji przodków!), kiedy to arjanina lub zgola jakąś inną pocziwą znachorkę-czarownicę cieleśnie w mękach palono. — Niemniej dzień na dzień widzimy i słyszymy wokoło, z jakim rumorem i żwąwą krzątanią zbiera się polana i klody, krzemienie i głazy, by kamieniować duszę tych, którzy pragną z człowieka — człowieczeństwo wydobyc!

I ja, skromny proboszcz, znający życie przedwzrostkiem własnej parafji — obawiam się, podobnie jak Wasza Emilencjo, czy tego rodzaju młodzi zapaleńcy, wydający „Dwutygodnik literacki”, znajdując w naszej (i w innych) diecezji zrozumienie i należne odczucie? Czy wytrzymają konkurencyjny napór tak znakomitych pism, jak n. p. zbożna i nieporównanie postępową „Tęcza” z marką „Św. Wojciecha”?

Wszak tam odrazu wstępna ilustracja trwoga i lękiem przejąć musi każdą przepisowo i należycie ochrzczonej duszę, pokazując dowodnie, jak to dzisiejsi ludzie w plugawym cynizmie budują kamienne drapacze o parę metrów wyższe... od wieży kościelnej. A podpisane to zestawienie: „Groźny symbol współczesności!”

Otoż to symbol dzisiejszej prawowiernej myśli! Wnet pójdziemy dalej: Będziemy ścinać odwieczne dręby za to, że korona wystrzeliła ponad cichy, wiejski kościółek; a fabryki ludzkiej pracy, dające rodzinom chleb i łyżkę ciepłej stawy — w gruz walić będziemy, gdyż dach ich i kominy wyrosły ponad frontony chłodnych marmurów katedr i nadętych pałaców.

A czy potrafią — proszę Waszej Emilencji — Bracia mniejsi — piórem i sercem wojownicy — podać w swem piśmie rozsądnej współczesności taki wykwinny (i bezpłatny!) deser po duchowym sympozjonomie, jak ów kolorowy (w „Tęczy”) dodatek — ostatnie natchnienie czystej sztuki — apoteozujący pómisek z „zimnym mięsem”, obok którego purpura miłości wdzięczy się we flakonie — ściety kwiat?!

Z zachwytem to patrzą wytresowane dziewczęta i ich dziewczęta przyszli spadkobiercy! Wszakci na tym pómisku podstawowa ich życia potrawa: cielęcina!...

Kaska — moja gospodyni — była powyższym miesięcznikiem zachwycona. Z ledwo tłumionym wzruszeniem ucałowała mi za ten bezpłatny dodatek obie ręce i, delikatnie przez fartuszek ująwszy go w palce, uniosła do swego pokoju. —

Zachwytu tego nie podzielała już jej córka Magdusia, będąca u mnie na wychowaniu. Dziewczyna osiemnastoletnia (Hej! mój Boże, jako człowiekowi lata leca!) ładna, garnąca się do świata, lecz... cóż począć... W jej spojrzeniu już nie ma tego beztroskiego spokoju i zadowolenia co u matki... Jakież tęsknoty i oczekiwanie zgola czegoś nowego..., lepszego, niż to, na co patrzy i poznaje.

Tu kiedyś wzięła z mojego biurka (na którym leżą metryki chrztu, ślubów i pogrzebów) maleńką książeczkę o celowem macierzyństwie pisaną, a przeczytawszy ją, powiedziała mi, że powinniśmy ją rozdáwać wszystkim biednym, zapracowanym i bezrobotnym, gdy będziemy chodzić na koledzie...!

Zamyśliłem się głęboko. Wbrew naukom niedzielnym i świątecznym obu moich wikarych (jeszcze bardzo... młodzi!) ta dziewczyna sama w sobie stwarza pewnik, że niechrześcijańska to rzecz na gnojnym barłogu leżąc, płodzić i rodzić nędzarze kalekie do zbrodni i zaprzania się Boga gotowe...!

Zamyśliłem się — powiadam.

Bo — sądząc po tem zjawisku — może istotnie nowe pokolenie bliższe jest prawdy i realizacji najwyższej etyki, niż my to nawet przypuszczaliśmy.

Więc obok lęku nad otwartem i zdecydowanym poczynaniem młodych umysłów — i otucha jakąś poczęła napępiać duszę moją, że przecież niestracona żadna myśl, i nieprzegrana żadna bitwa — toczona w imię zwycięstwa najludźniejszych zasad! A wszystko, co słuszne i sprawiedliwe — podpis i pieczęć Boga posiada!

I przypomniały się mi dawniejsze pisma Waszej Emilencji, w których ludzie, na własne mogli ujrzyć oczy, jak to świątkowie o-puszczali ramy złożone czy wiśniowe, aby porzucić dom, gdzie zapanowała zbrodnia, rozsiadła się pycha i samolubstwo. Świątkowie

mieszkają tam tylko, gdzie niema obłudy i fałszu a lampa oliwna jasnym płomieniem świeci się tylko tam, gdzie czyste powietrze!...

I o tę czystość powietrza chodzić nam wszystkim powinno!

Nie rozumieją tego ci, którzy od urodzenia w zaduchu i ciasnocie krążą myśli chodzą. Niewyniesieni nigdy na wierzch człowieczego ducha ani nie przypuszczają, że może być inaczej. Obracają z głową opuszczoną ku ziemi kierat życia — pokornie posłuszni tym, którzy zapewniają ich, iż, tak czyniąc, pięknie i należycie spełniają przyjęty na się obowiązek, zasługując sobie rzetelnie na szczęście i radość — po śmierci!

Byle tylko nie dali się odwieść z obranej drogi! A odwieść z niej mogą przeróżne niepotrzebne książki, artykuły masońskie, poezje szatańskie dla niepoznaki o świątkach i Chrystusie mówiące.

I czego najwięcej się lękam, — to obojętności i umiejętnie wszczępanego strachu

przed czytaniem i poznawaniem współczesnej myśli. Górowałaby wtedy uśmiechnięta idea Kasi z pómiskiem cielęciny — a jej córka, Magdusia, możeby musiała kajać się w zgrzebnej koszuli, boso — w pomroczonej kruchcie!...

Lecz niedarmo śpiewamy codziennie: Sursum corda! Wierzę, że ziarna rzucone w rolę zęjdą bez względu na to, kto je sieje! Byle tylko siał ziarna zdrowe, życiem ukrytem narzmięte i — niezleżące.

Oczekując przy nadchodzącym Wielkim Poście nowego pasterskiego listu Waszej Emilencji — pozostaję oddany w duchu Pana i Poezji

PRAEPOSITUS PAROCHIAE
KOLTUNOWO.

Pisane w dzień
św. Szczepana, pier-
wszego męczennika
za ideę Chrystusa.

STANISŁAW WASYLEWSKI

Nowele Tomasa Manna

Uprzejmości „Biblioteki Laureatów Nobla” zawdzięczamy możność ogłoszenia niniejszej charakterystyki nowel Tomasa Manna, których tom „Pan i pies” w przekładzie L. Staffa ukaże się wkrótce.

W swojej autobiografii niedawno ogłoszonej w „Die Neue Rundschau”, (1930, czerwiec) pisze Mann co następuje: „Z wiadomości udzielonej mi przez króla szwedzkiego Gustawa wywnika, że odznaczenie (nagrodę Nobla) zawdzięczałem przedwzrostkiem sympatji, z jaką tam na Północy przyjęto ów romans z życia rodzinnego w Lubec, mieście mojej młodości. Tu muszę się uśmiechnąć, wspominając, jak świadomie wypracowałem w ciągu tej roboty atmosferę pokrewieństwa z moją dziedziną ojczystą, chcąc się przybliżyć powtórnie do świata moich ówczesnych

nych cech symbolicznych, rozpił się jednak haniebnie i smutno skończył w Afryce. Co się stało z heroiną naszych lekcji tańca, która była przedmiotem wzruszeń miłosnych, tego nie umiem powiedzieć”. Odbiciem rzeczywistości są również portrety obojga rodziców. Ojciec T. Manna, szanowny kupiec i senator wolnego miasta Lubeki, człek był grubowojny poprawny, matka, istota wybitnie romańskiego typu i nastawienia, urodziła się w Rio de Janeiro z kreolsko-portugalskiej Brazyljanki. Egzotyczna mamusia Kroegera była podobna matce T. Manna. Piękna i zmysłowa, niedbale namięta, impulsywnie opieczęta. Syn takiej pary stał się człowiekiem z granicy dwóch światów i w żadnym z nich nie czuł się u siebie w domu. Więc „Tonio Kroeger” jest nietylko kluczem do poznania biografii pisarza, ale zarazem wyjaśnia wiele niegermańskich elementów w jego twórczości. Ten klasyczny, południowy optymizm. Triumf formy nad chaosem, życia nad wątpieniem.

Na niniejszy tom nowel Manna składają się trzy utwory, rozmyślnie z różnych epok jego twórczości wybrane. „Pan i pies” (1918) należy do epoki dojrzałego już pisarstwa. Nowela ta przyczyniła się walcnie do rozszerzenia poczytności autora poza granicami Niemiec. Szczególnie w Anglii zachwycano się Panem i psem. Bo ladies angielskie interesują się sprawą swych ulubieńców bardzo. I z ciekawością śledzą ich rozwój życia wewnętrznego. Przed paru laty głośno były doświadczenia na temat stosunku psów do filmu. A mianowicie, czy pies potrafi dostrzec obraz na ekranie i jak nań reaguje? Urządzono w tym celu wielkie przedstawienie specjalnie dla psów. Widzownie amfiteatru zapelnily damy i ich dogi. Jakie były wyniki psiego kina i czy poczyniono z tej racji nowe, ciekawe obserwacje — nie wiem, bo sprawy nie śledziłem. Rozumiem natomiast, skąd się wzięła popularność niewielkiej i wcale niesensacyjnej noweli. Sprawiała ją postawa pisarza wobec zwierzęcia i sposób jego obserwacji. Autor starał się zająć stanowisko obiektywne. I śledził w czasie przechadzek ze swym „Bauszanem” prawa, rządzące psim życiem. Strzegł się przytem, o ile to wogóle możliwe, antropomorfizmu, t. zn. tłumaczenia spraw psich na sposób ludzki. Czasami udało się mu też podejść do niektórych przejawów duszy zwierzęcia. „Przedziwna dusza — powiada gdzieś. — bliska przyjaźni, a taka obca, tak odmienna w pewnych punktach; że słowo nasze okazuje się niezdolne do zrozumienia owej logiki”.

W literaturze polskiej nowela o panu i psie nie jest rewelacją. Przeczytamy ją z zaciekawieniem jako jeden z przyczynków do tematu, osiadłego z dawna w naszej beltrystyce. Bogata i urozmaicona jest nasza psia literatura. Zeby choć wspomnieć takie psy wspaniale jak „As” Dygasińskiego, „Saba” Sienkiewicza, „Rex” Reymonta, Daniłowskiego, Nałkowskiej i t. d. Albo obserwacje i studja zwierzęce: Z. Bartkiewicza, J. Wiktor, M. J. Wielopolskiej i tylu, tylu innych.

Zagadnieniu „nieladu” i rozstroju porządku społecznego oraz przemiany wszystkich wartości dnia dzisiejszego poświęcony ostatni utwór „Unordnung und frühes Leid” (1925). Sam autor nazywa go „nowelą o rewolucji i o inflacji”, podkreślając, że bohaterką jest jego córka najmłodsza, jedenastoletnia Elżbieta. Mamy tu dokument czasu i zwierciadło przerażonej „nieladem” burżuazji niemieckiej. W charakterystyce migawkowej znać majstra i pióro doskonałe, świadome trafności swych szychów. Sam też majster nazywa tę nowelę „wytworem konserwatywno kulturalnego, który ironizuje sam siebie oraz wytworem miłości ojcowskiej dla nowego świata”. I ma rację.

A zatem trzy wyrazy, z różnych epok twórczości, czołowego pisarza Niemiec dzisiejszych. Bez narażenia się na zarzut przesady stwierdzić trzeba, że kto się chce rozpoznać w dorobku T. Manna, nie może ich nie poznać.



ZYGMUNT SZPINGIER: MODELKA

Fot. St. Markiewicz — Poznań

Najlepsi przyjaciele

Świeżo ukazała się, wydana nakładem Księgarni Uniwersyteckiej w Poznaniu, książka Arkadego Fiedlera: „Bichos — moi brazylijscy przyjaciele”, którą omówimy w najbliższym numerze „Dwutygodnika”. Dziś ogłaszamy słowo wstępne, pióra prof. Uniwersytetu Poznańskiego Dr. Edwarda Lubicz Niezabitowskiego.

★

Tak między ludźmi jak zresztą i pomiędzy zwierzętami, istnieje u niektórych osobników wrodzony niejako popęd do zapuszczania się w obce okolice i podniebia, bez względu na trudności na drodze stojące i niebezpieczeństwa z tem połączone. Bardzo często spotyka się to zjawisko pośród przyrodników, u których spotegowane jest ono jeszcze chęcią poznania wspaniałych zjawisk przyrody, obcych roślin, zwierząt lub ludów pierwotnych. Spotyka się też szczególnie często u myśliwych, szukających wrażeń i trofeów łowieckich w dalekich okolicach, gdzie świat zwierzęcy nie jest jeszcze tak wytepijony jak u nas. Dzięki temu, ziemia nasza została już w przeważnej swej części poznana, do czego i nasi podróżnicy niejedną dołożyli cegiełkę.

Pod wpływem, zdaje się, takiego popędu wewnętrznego, spotegowanego jeszcze nieco i żylką myśliwą, zjawil się u mnie w Oddziale Przyrodniczym Muzeum Wielkopolskiego w r. 1928 p. Arkady Fiedler, oświadczając, że zamierza na własny koszt zrobić myśliwą wycieczkę do Parany, aby nasze Muzeum wzbogacić okazami brazylijskiej fauny i prosi o udzielenie mu poparcia i wskazówek. Myśl tę doprowadził rzeczywiście mimo wielu trudności do skutku, przybierając sobie za towarzysza podróży za mą poradą, również jak i on młodego, leśnika p. A. Wiśniewskiego, obznajmionego z przygotowaniem i konserwowaniem okazów przyrodniczych.

Obydwa pełni zapału, zapuścili się w brazylijskie lasy, strzelając ptaki i zwierzęta, preparując skórki, zbierając chrząszcze i motyle. W ciągu kilku miesięcy potrafili zebrać przeszło tysiąc ptaków, nieco czworonogów oraz kilka tysięcy owadów, rezultat jak na niezawodnych przyrodników bardzo okazały. — Wśród tej pogoni za coraz to nowymi gatunkami, zrywają się coraz to więcej z tym światem zwierzęcym, z temi istotami, które zabijają dla celów nauki, zwłaszcza od chwili, gdy postanowili gromadzić też i żywe okazy, aby zasilili nimi poznański ogród zoologiczny. I oto pomiędzy człowiekiem a zwierzętami nawiązuje się nie sympatji, budzi się w głębi żal zabijania ich i wreszcie wytwarza się głębokie ich umiłowanie. Zjawisko takie zdarza się niejednokrotnie wśród najzagorzalszych nawet myśliwych, którym w jakimś momencie nagle zabijanie przestaje sprawiać radość, staje się wprost przykre.

Myśliwy wtedy zawieszca strzelbę na ścianie, zamienia ją niejednokrotnie na aparat fotograficzny i odtąd zbliża się do zwierząt nie po to, by im śmierć zadać, lecz by je poznać bliżej, by je zrozumieć. Znajduje się często u nich to, czego naprótno szukał między ludźmi, bezinteresowne przywiązanie i przyjaźń. Podobnie i p. Fiedler rozmiłował się w swych jeńcach, których wiezie z dalekich puszczy Brazylii do poznańskiego ogrodu zoologicznego, a uczucia swe do nich i garść spostrzeżeń nad ich charakterem, ich właściwościami przedstawia po literacku w szeregu krótkich obrazków w tej książce. Może przyczyni się ona po części do tego, aby ogół zrozumiał, że zwierzęta mają też swoją psychę, swój charakter i przymioty, któremi górują niestety zbyt często nad ludźmi.

Poprzedni 4-kolumnowy 1-szy numer „Dwutygodnika Literackiego” zawiera: *Emila Zegadłowicza*: List pasterski. — *A. E. Balickiego*: Kazimierzowi Przerwa-Tetmajerowi w holdzie. — *Zenona Kosidowskiego*: O najład młodych. — *Antoniego Chocieszyńskiego*: Franciszek Zygart bez retuszu. — *Jana Sztandyngera*: Mefisto Goethego a „djabły” Garczyńskiego i Zegadłowicza. — *Stefana Papée*: Wielkopolska w sonetach. — *Stan. Witolda Balickiego*: Opetał bies Kuglina. — *Helena Kowalewskiej*: O nowe ideały w muzyce. — *Artura Marii Swinarskiego*: Zły wiersz o świętym Mikołaju. — *Zelwero-wicz w Poznaniu*. — Autorecytacje *Witolda Zechentera*. — *Camera obscura*. — Post scriptum. — Reprodukcje dzieł malarskich: *Władysława Lama*, *Zygmunta Szpingiera* i *Stanisława Kurmana*.

WŁADYSŁAW KRAKOWSKI

Z cyklu „Odrodzenie teatru polskiego”: Gest teatralny

Odrodzenie teatru w ogóle — a teatru polskiego w szczególności — musi wypływać z dwóch źródeł: z ogólnych tendencji, tkwiących, że tak powiem, w ogólnowiatowym „duchu współczesności”, w tem, co stanowi znamię choćby przelotne lecz charakterystyczne obecnej kultury — i we właściwościach danego narodu, zastosowanych w swych najistotniejszych pozycjach do potrzeb współczesnej sztuki.

W największym upadku w teatrze europejskim współczesnym jest gest teatralny, który popadł częściowo w aformizm, częściowo w naiwną mechanizację teatru rosyjskiego. Naturalnym jego odrodzeniem w duchu współczesności może być sport, nad którego dziwną siłą przyciągającą musieliśmy się nieraz zastanawiać. Jest w nim jakiś sugestywny czynnik, który pozwala w Anglii i Ameryce, by stu, a nieraz dwustutysięczny tłum w najwyższym napięciu przetrwał przez dwie godziny na każdy najdrobniejszy szczegół ruchów dwudziestokilku graczy znajdujących się na boisku. Niema tu podrzędnych ról, o których można zapomnieć, każdy gracz na boisku jest równie ważny, każdy może w pewnej dogodnej chwili przyczynić się do decydującego zwycięstwa, a nawet do mistrzostwa, czy to w zawodach w piłkę nożną, rugby czy baysbalu, czy w innej, mniej atrakcyjnej grze sportowej.

Długo po takim meczu o mistrzostwo dyskutuje ogół widzów, nieraz przez całe tygodnie, o słuszności pociągnięć poszczególnych graczy, o ich ówczesnej dyspozycji psychicznej i fizycznej, o ich godnych podziwu wyczynach, no i błędach i niedopatrznościach, i o właściwych sposobach ich uniknięcia. Znajomość bowiem techniki sportu u stałych bywalców zawodów sportowych może iść w parze z wiedzą niejednego fachowca. Jakaż różnica między widzem teatralnym, tak obcym rzemiosłu aktorskiemu!

Wyszość sportowego widowiska nad teatralnym i kinowym polega na świeżości reakcji publiczności, która to reakcja nie jest jeszcze zatamowana błędnie pojętymi zasadami dobrego tonu. Publiczność wypowiada się jako masa grzmiąca okłaskami, spontanicznymi okrzykami na korzyść swych pupiłów i na pohybel swych antypatyj. Przelatują dowcipy pod adresem zawodników i sędziów, rady dla sędziów i t. d. Coś wspaniałego mieści się w niemilkających okrzykach i wołaniach tłumy, rozsiadłego na trybunach, gdy padnie ładny gol lub nastąpi piorunujący knock-out. Widzowie zawodów sportowych to publiczność młoda, gorąca i pobudliwa, idealna publiczność twórczego teatru. Nie doceniają bowiem sugestji współzycia widowni ze sceną ci, którzy chcieliby, by w teatrze widowisko odbywało się bez okłasków i pragnęliby wyeliminować ten ostatni moment współgrania publiczności z aktorem. Aktorem odczuwającym, że za każdym jego ruchem i słowem idzie nie tylko uwaga, ale i emocja tłumy, który umie w niej znaleźć oparcie. Ten aktor w drodze do szczytów sztuki nie może pogardzić owym ciepłomierzem nastroju, okłaskiem.

Świeżość widza sportowego polega z jednej strony na nowości tych wskrzeszonych widowisk, z drugiej strony na gruntownej znajomości techniki danego sportu. Zwłaszcza przy grach zespołowych, lekkoatletyce, boksie, każdy ruch jest śledzony, łatwo z niego odcyfrowuje się dyspozycje psychiczne zawodnika i jego obecną kondycję fizyczną.

Teatr europejski, wskutek zawrotnego rozwoju literackiego dzieł scenicznych, zwichnął równowagę między możliwościami zespołu aktorskiego, a zawrotnie wysokim poziomem treści sztuk genialnych twórców — Szekspirów, Calderonów, Goetych, Wyspiańskich, Norwidów i t. p. Publiczność zagubiła się w ocenach bezbrzeżnych, w przebogatej treści tych dzieł, a zespół aktorski przez ostatnich sto kilkadziesiąt lat wisił pomiędzy biegunem niewyraźnej niemal scenicznej treści, a płaskim, kompromisowym realizmem scenicznym. Tej inercji zespołu zaczęły przeciwdziałać dopiero u schyłku XIX i na początku XX wieku pierwsze wysiłki stylizacji, które jednak, jako pływające w pewnego ogólnego szablonu a nie z istoty dzieł, nie znalazły oczywiście entuzjastycznego i gorącego odbiorcy, w postaci współodczuwającej publiczności teatralnej.

Publiczność, skupiająca się nad zawartością treściową dzieł, zapomniała, jak i aktor, że podstawą teatru prawdziwie godnego tej nazwy jest nawet u najpodrzedniejszych jednostek doskonałe rzemiosło teatralne. Jest to szkoła dłuższa i mozolniejsza, niż mogły to przypuszczać takie fenomeny talentu, jak Rochel, Matlakowski czy Kainz, u nas Modrzejewska, Żółkowska czy Królikowski. Dopiero teatr japoński uświadomił nam, że można jeden gest, jeden krzyk ćwiczyć kilkanaście lat, nim uzyska się formę dopuszczalną na scenie. A przecież już Norwid poetycko dowiódł, że jedynie doskonałość rzemiosła rozstrzyga o wartości sztuki.

To rzemiosło, tę technikę z pośród przedmiotów widowiskowych wnosi sport. Widzimy tam, jak wysiłki techniczne, zdolności i tryb życia jednych stają się pomocą i pomostem dla drugich, rekord, czy też poziom techniki, czy jakości gry zespołowej wzrasta coraz bardziej, jakby w nieskończoność, otwierając nieprzewidywane dotąd perspektywy możliwości ludzkiej! Widz sportowy, jak już wspominałem, świadomy tego wysiłku zbiorowego, setek tysięcy ludzi rozsiadanych po całej kuli ziemskiej, korzystających z dorobku kilkudziesięciu lat gorączkowej pracy, śledzi u mistrzów — czy to będzie Nurmi, czy Cochet, czy Szarkey, czy inni — każdy najdrobniejszy szczegół odruchów, oddychania, a nawet oddechu (np. na ringu bokserkim), podziwia wiedzę i umiejętność, doprowadzone do ideału gesty sportowe.

Dla widza teatralnego, choćby grywającego w teatrach amatorskich, tajemnica zdobywania

prawdziwej techniki teatralnej osłonięta jest całkowicie sensacyjno-mistycznym mrokiem kulisy. Teatry, od setek lat rozsiane po całym globie, pracują oparte o wspaniałe tradycje okresów kultury religijnej, od wieków popierane przez możnych, jak państwo, arystokracja, miasta, plutokracja, ostatnio przez partje. Nie istnieje tu ten sam pęd, by nie zaniedbywać żadnych zdobywczych okresów ubiegłych (jak w Japonii), by nie zaniedbywać dorobku wybitnych aktorów w jakimkolwiek teatrze na szerokim świecie, którzy trudzą się nad oddaniem odwiecznych wszechludzkich przeżyć ducha. Zawiniła tu zwłaszcza w romantyzmie tkwiąca pogarda rzemiosła na korzyść intuicji i zatracony u publiczności zmysł skrupulatnej obserwacji.

Treść abstrakcyjna, wykrzywiona w zwierciadle konwencjonalizmu, zwyciężyła nad życiem. Podjęto korzenie teatru, łączące go z właściwą głębią. Jak dalece stepił się zmysł obserwacji, świadczy często recenzje z różnych teatrów, gdy nieraz w sztukach najmarniej reżyserowanych, gdy żaden z członków zespołu nie ma w tym względzie żadnych złudzeń, gdy błędy inscenizacji wprost rażąco biją w oczy, krytyka w całej swej prostocie wychwała jej jakość. A jednocześnie dziwnie niespostrzeżenie mijają przed krytyką najciekawsze choćby wy-

siłki reżyserskie, jeżeli reżyser ich sam nie rozgłosi i nie wytłumaczy.

Wyrobinie naszych zmysłów wzroku i słuchu, wyczerpanie szczególne wobec zjawisk teatralnych jest nieodzownym środkiem do właściwego ogarnięcia i współzycia z światem rzeczywistości teatralnej. Kojąc w centrach nerwowych wysubtelnione i dokładne wrażenia wzroku i słuchu, otrzymujemy obraz coraz czystszy. Wyrobinie uwagi wzrokowo-słuchowej wyprowadzi z chaosu o teatrze, skrzywionych wskutek jednostronnego interesowania się literacką treścią dzieł, która na tle nierównoważnej jej wyrazistości interpretacji scenicznej, stawać się powoli będzie dla obserwującego i świadomego uchybień rzeczywistości tłumy inteligencji, niedostępna. (Nie mówię już o proletariacie). Widz dzisiejszy, wciągnięty w wir życia współczesnego, musiał, chcąc nie chcąc, znów wydoskonalic swe zmysły, chce widzieć wszystko lub słyszeć, i w tej formie dopiero głębiej przeżywać, nie umie pozostawać w sferze niepewnych i mglistych domysłów. Choć myślę, że nie stroniłby nawet od odpowiednio podanego mu czystego symbolizmu. Zmysł więc obserwacyjny widzów, choć, jak wskazałem powyżej, niedostateczny, przewyższa wielokrotnie

to, co mu dziś może ofiarować przeciętna scena europejska.

Uwaga pilna widzów musi znaleźć odpowiednik w wypracowanej najwyższym wysiłkiem cielesnym i umysłowym technice aktora. Aktora, który wkroczy na drogę wieloletniego, umiejętnego i nieprzerwanego treningu (poza zwykłą pracą sceniczną) aktora, który korzystać będzie najskrupulatniej z dorobku innych, choćby jak najbardziej odległych i najęzotyczniejszych współtowarzyszy w zaprawie do wielkiego sportu, zwanego teatrem. Trening ten obejmie najintensywniej tak wysoce zaniedbany w drugiej połowie XIX wieku gest sceniczny, zwłaszcza w zespole, zastępowany dziś tutaj stylizowanym, mechanicznym synchronizmem ruchów.

Wyszkolenie to, jak wszelkie wyrobinie fizyczne, zacząć się musi od wydoskonalenia przez ćwiczenie sprawności centrów motorycznych, posłusznych działaniu woli. Nie ilość pracy gra tu rolę, lecz jakość. Opanowanie mięśni, doskonałych czasem narzędzi woli, spowoduje zanik szeregu bezmyślnych i fałszywych odruchów. Akt mięśniowy, skomplikowany przez różnorodne funkcje mięśni, jako kierownictwo i materiał ruchu, jako miarkujące i równoważące ruch, wymaga wielu lat pracy nad wyrobinem odpowiedniego samoopanowania ciała. Aktor musi myśleć swobodnymi ruchami mięśni, jak idealny rzeźbiarz lub architekt kształtami, malarz barwami i rysunkiem, a muzyk tonami. Aż ciało stanie się posłusznym instrumentem dla każdego najdrobniejszego odruchu mistrza, dla którego nie będzie rzeczy niemożliwych. Mięśnie jego będą elastyczne i szybkie, wytrzymałe i długie. Do usług aktora-mistrza byłby cały zasób ruchów i gestów, o których dzisiejszy artysta sceniczny marzyć nie może. Takich, jakie posiada obecnie w swej specjalności każdy mistrz światowy szermierki, boks, tenisa, judo i t. d.

Dopiero sport bowiem wniósł nowy ideał ruchu celowego, którego celowość potwierdzają uzyskiwane wyniki. Ruch ten jest wyłącznie możliwy przy gruntownym gimnastycznym uplastycznieniu ciała, i uczynieniu go podatnym dla najwyszylniejszych, a jednocześnie skupionych najbardziej działań. Ten jeden najdoskonalszy ruch, który czy w oszczepie czy w dysku, czy kuli czy szermierce lub boksie zapewnia rekord lub mistrzowskie zwycięstwo, jako krok biegacza, jako odbicie skoczka, uderzenie najbłyskawicami ramienia pływaka, prowadzi do ogólnowiatowych najwyższych tryumfów i chwały, widnieje w myśli każdego prawdziwego sportowca jako cel ciągle nieosiągalny, do którego realizowania prze ludzką z coraz większą energią i skutkiem.

Mógłby kto, pomimo tego, postawić zarzut, że przecież sport nie może być brany jako ideał dla gestów i ruchów, gdyż zawiera w sobie dużo momentów i ruchów nieestetycznych. Zbyt to pochopne twierdzenie. Obserwujemy oczywiście najczęściej zawodników niewysokiej zbytnio klasy, którzy brak opanowania mięśni zastępują jakimś nerwowym wysiłkiem, wyniszczającym lekkomyślnie nadmierne przepracowane organizm. Prawdziwy mistrz, pan swego rzemiosła sportowego, ekonomia ruchów i pełna świadomością warunków swego ciała i woli, panuje nad każdym ruchem. Każdy gest, nawet w największym wysiłku, mówi o tem. Celowość i wola, zawarte w ruchu, mieszczą w sobie pierwiastki nieprzezwyciężonego dotąd piękna. Wszystkie sporty wnoszą cały szereg nowych, nieprzewidywanych przez dawnych artystów i estetyków, gestów tchnących prawdziwą harmonią, pięknem, które wszędzie tam pojawić się musi, gdzie głębokie i pracowite dążenie do ideału celowości i harmonii wydało już dojrzałe owoce. Celowość jest ową symboliczną „bramą”, przez którą, jak mówi Norwid, „wchodzi piękno”.

Sport stworzył oczy człowiekowi współczesnemu na zmanierowanie obecnych poglądów na piękno gestu. Nasz smak zepsuty opierał się na sztucznym balecie francuskim i jego epigonach, na niewyzwolonym jeszcze z tradycjonalizmu balecie rosyjskim z przed lat trzydziestu, na koniecznym dla nas dziś gości operowym, na klasycznym, pozornie tylko realistycznie zmodyfikowanym gości teatru XIX wieku. Dopiero sport uświadomił w całej pełni oczywistą zasadę, że jedynie gest najbardziej celowy, którego rezultaty są najlepsze przy zużyciu proporcjonalnie najmniejszej energii, jest prowadzący do rekordu, wyrabiający jednocześnie prawdziwe piękno cielesne, musi być estetycznym, będąc doskonałym. Nowy zasób pojęć i ich zastosowań wnoszonych przez sport stworzył naprzód nowoczesną gimnastykę, potem rzucił podwaliny pod współczesny balet, który np. w Niemczech wydał wspaniałe rezultaty (mam tu na myśli przedewszystkiem szkołę Rudolfa Labana). Balet ten wyparł już stary klasyczny z wielu oper w Niemczech i musi się stać, jak uodowodnił już wszechstronnie znany teatrolog H. Brandenburg, podstawą zgruntu odnowionej ekspresji scenicznej.

Rozważałem tak najważniejsze i najistotniejsze dla ducha współczesności źródło odrodzenia gestu. Użytkawszy tą drogą surowy materiał należałoby dopiero go ująć w formy wpływające z właściwości i tradycji narodu, na którego terenie ma się teatr rozwijać.

Naród polski może znaleźć niewyczerpane kopalnie doskonałego i z najlepszych jego tradycji płynącego gestu teatralnego przedewszystkiem w naszych tańcach ludowych (np. obecnie wydany album tańców śląskich obejmuje 65 tańców), w gestach obrzędowych, gestach związanych z rolnictwem, w gestach utrwalonych w sztuce ludowej i t. d. To wszystko będzie przedmiotem osobnego artykułu.

„Dziady” w nowej inscenizacji

Sto lat temu pisał Mickiewicz „Trzecią część „Dziadów”; trzydziście minęło od dnia „premijery” tego przedziwnego poematu w teatrze im. Słowackiego w Krakowie (31. października 1901 r.).

Skrótów tekstu, inscenizacji, szkiców dekoracyjnych i kostjumowych dokonał na prośbę Kotarbińskiego — Stanisław Wyspiański. „Szalony pomysł”, za jaki uważano wystawienie „Dziadów”, powiódł się w zupełności.

Wywołał burzę i zastrzeżenia tylko ze strony urzędowej krytyki...i literackiej braci! A więc oburzano się na Wyspiańskiego za pokąwanie Improwizacji (za to przedewszystkiem!), za połączenie na cmentarzu chóru wieśniaków z monologami Dziewicy i Gustawa jako strzelca, za ubranie postaci szatana w ciężką czarną zbroję z dużymi czarnymi skrzydłami...

Zarzutów było sporo — i przeważnie słusznych. Wnętrze zapadłego drewnianego wiejskiego kościoła (cerkwi) zamienił Wyspiański na nawę z ciosowego kamienia gotyckiego kościoła (zajmował się wtedy kościołem św. Krzyża) — aniola i szatana ubrał w zbroje, jednego w srebrną, drugiego w czarną, zjawy potraktował zbyt realistycznie...

Wszystko to prawda! Niemniej dał całosc pierwszorzędną — pełną i romantycznego czar (cmentarz z guślarzem i wieśniakami, wywoływanie duchów), i patriotycznego bólu (scena więzienna) i grozy martyrologii polskiej (Nowosilców — Rollisonowa). Niektóre zaś pomysły, jak n. p. Widzenie Senatora, scena balu i ostatnia, dobrze spajająca luźne pozornie obrazy w całość, były bez zastrzeżeń świetne...

Obecny dyrektor krakowskiego teatru p. Trzcziński poszedł inną drogą. Przedewszystkiem odrzucił wszystkie sceny związane z postacią Nowosilcowa. Uważa (tak sądzi), że nie ma potrzeby przypominać obecnie i tego wyrafinowanego rozpusznika i męczarń jego woła zadawanych ówczesnemu polskiemu pokoleniu. Ograniczył się p. Trzcziński przedewszystkiem do przeżyć duchowych Gustawa i jego przemiany w Konrada, płonącego żarem miłości i niecierpliwości zbawienia własnego narodu. Ta gorączka niecierpliwości na miłości oparta doprowadza go do buntu przeciwko Bogu... To też widzenie nadejść mającej innej przyszłości widzi pokorny i cichy braciśkie zakonny.

Tak zainscenizowane „Dziady” wypuklają istotnie przedewszystkiem przeżycia duchowe Gustawa-Konrada, rzucając je na romantyczne tło obrzędu Dziadów i wspólnego więzienia z towarzyszącymi i kolegami uniwersyteckimi...

Zrywając w ten sposób z układem scen i koncepcją całości Wyspiańskiego, zerwał także p. Trzcziński przeważnie z jego pomysłem ujęcia „Dziadów” pod względem dekoracyjnym i (po części) kostjumowym. — Zgodnie z duchem romantyzmu pojęty i uplastyczniony przez Wyspiańskiego wiejski cmentarz, pełen melancholij idącej z ciemnych mogiłek i drewnianych krzyży — ustąpił miejsca czarnym kotarom i ciemnym, zakrywającym się w górę schodom. Mrok na scenie panuje zupełny. Przez te schody z latarkami w ręku idą wieśniacy w dół do upatrzonej kaplicy na obrzęd. Po rozchyleniu się kotary bocznej ukazuje się w pokoju w białej sukience dziewczica czytająca romans pani Krüdener. Wzdycha do wymarzonego kochanka... Wnet po przeciwnej stronie zjawia się Gustaw — myśliciel, przy nim szatan.

W tej samej dekoracji odbędzie się obrzęd Dziadów. W zupełnym mroku na czarnym tle wielkie wrażenie wywrażają się świetlne upiory... Nastroj powiększa słowa chóru, mówione przeważnie „na szepcie”. (Niepotrzebne tylko ścinanie i zrywanie ostatniej zgłoski!!).

Istotnie, coś niesamowitego wieje ze sceny... Czar dzieła. Duchy trwożą.

Nie jest to ujęcie sprawy w „stylu epoki”, w duchu romantyków, owsem, zmodernizowane zupełnie — „styl dzisiejszy” i sposób wydobycia nastroju — współczesny! Niemniej

ciekawy i sugestywny — a o to przecież chodzi!

Po tak interesujących dwóch pierwszych odsłonach — widz w napięciu czeka następnej: przybycia Gustawa — pustelnika — upiora do księdza.

Tu rozczarowanie! Wszystko po staremu — aż nazbyt nienastrojowo a realistycznie! I dzwonienie widelcami po talerzach i polana dorzucane do kominka i chleb pokrajany w kromki — nie mówiąc o postaci księdza Gustawa: dobrze ożywiającej i odpowiedzialnej tuszy...

Jeżeli która scena prosi się o „reformę”, to głównie ta! Nie przeczę, że do należytego rozwiązania ta sprawa łatwą nie jest! A jednak razi ona w teatrze swym realizmem a razi dziś właśnie więcej niż dawniej...

Czy to zapomocą innej stylizacji czy też odpowiedniego użycia światła — trzeba koniecznie wywołać wrażenie rozmowy Gustawa z księdzem jako jakiegoś głębokiego snu, jako czegoś co było, co zdarzyło się niewiadomo tylko — „we mnie czy poza mną” — jako jakiegoś dla księdza (i dla nas) kosmaru — po którym zostaje niepokojące zagadnienie jawy czy rzeczywistości... Ten znekany, upiorny Gustaw, przebijający się w serce a nie zabijający się — ten dzwiek bijących godzin zegaru — to nieuczasadnione gąszenie świec — i *zniknięcie* po rozmowie Gustawa — wszystko to upoważnia aż nadto wyraźnie do innego przeprowadzenia tej sceny! A i tekst trzeba wyciąć i przystosować inaczej! Opuszczenie miejsca, gdzie Gustaw wspomina o latach młodości — więc o czasie pobytu w szkole u księdza — nie tłumaczy powodu przybycia Gustawa właśnie... do tego księdza...

Szczęśliwym zato pomysłem było uszanowanie tekstu i wskazówek Mickiewicza, który do ks. Piotra sprowadza zastęp śpiewających aniółów. Nigdy tego nie mogłem zrozumieć, dlaczego Wyspiański, tak skwapliwie łączący tekst dramatu ze śpiewem, muzyką (vide: „Bolesław Śmiały”, „Akropolis”), tu zlekceważył czy ominiął żądanie samego twórcy — autora. Dzięki zastępowi aniółów scena Widzenia ks. Piotra zyskała nie tylko na piękności, ale posiadała potrzebny tu wyraz mistycznego związku Polski z Chrystusem — księdza Piotra z Niebem. —

Na tej scenie zakończono widowisko. Szkoda mi opuszczenia sceny „Dziadów” ostatniej, gdyto przychodzi Maryla na cmentarz, pragnąc zobaczyć jeszcze raz tego ducha, co to zjawił się jej przed laty wielu... Rozumiem, że w scenie tej nie tłumaczyłby się obecnie upiór Doktora ani Bajkowa; czy jednak z odpowiednimi skreśleniami scena ta nie tłumaczyłaby jeszcze lepiej momentu przemiany Gustawa w Konrada? Zdaje się, że tak... Kochanek Maryli zmienił imię stare — odszedł od niej bezpowrotnie — jego myśl i serce posiadał na zawsze ktoś inny, ktoś taki, z którym nawet tak ukochana kobieta już się mierzyć nie mogła!

Jak przed laty trzydziestu, tak obecnie widowisko „Dziadów” zyskało powodzenie. Teatr istotnie był pełny. Niewątpliwie sprawiło to nieśmiertelne imię Mickiewicza i utwór sam w sobie! Niemniej doskonała reszta nowa inscenizacja dzieła, nowe do niego „podejście”... A w postępie techniki teatralnej, w szukaniu coraz to odmiennych dróg w uplastycznianiu i oświetlaniu natchnionych wizyj i objawień poety — nie jest to jeszcze słowo ostatnie!!

To wielkie misterjum uginające się pod ciężarem bólu duszy Mickiewicza, będzie tak dla aktorów-artystów, jak dla inscenizatorów-reżyserów zawsze głębią, z której raz poraz będzie można pokazywać zdumionemu światu najradsze perły w coraz to innym oświetleniu...

Nowa inscenizacja „Dziadów” w teatrze krakowskim — powinna pobudzić do zastanowienia się dyrekcje teatralne także gdzieindziej... Wdzięczny to temat w dobie teatralnego „kryzysu...” (aeb)

WŁADYSŁAW LAM.

O starych i nowych prawdach artystycznych

Młodzi muszą zawsze wywalczać prawo obywatelstwa dla swych nowych idei. Tak było zawsze i tak prawdopodobnie zawsze będzie. Pierwsi impresjoniści z trudem i po długim czasie zostali przez ogół uznani. Ogół ten, zaopatrzony zawsze w przeszłość, oswajał się powoli ze sposobem impresjonistycznego traktowania obrazu, przyuczał się do patrzenia na świat pod kątem widzenia tej nowej malarskiej orientacji, a gdy już pogodził się zupełnie z tym nowym światopoglądem, dochodzili do głosu znów młodzi, którzy, przeszedłszy do porządku dziennego nad opinia ogółu, wywalczyli uznanie dla swych nowych prawd malarskich.

W sztuce trwał stale ta walka dwóch pokoleń: starego, które odchodzi i młodego, które przychodzi. Rację ma zawsze pokolenie młode, albowiem młodym samo życie sprzyja i realizuje ich idee, by wykazać, ile dobra i ile zła w nich się mieści. Droga młodych, gdyby miała być nawet zblakaniem, prowadzi przez tereny życia, a temu nie wolno się przeciwstawiać bezkarnie. Starsze pokolenie myli się najczęściej, albowiem czas jego przeminał i skutkiem tego stoi w sprzeczności z żądaniami życia. Oczywiście, zdarza się, że wracają do życia i pełnego znaczenia idee kiedyś już pogrzebane.

Artysta ideowo stary, powtarza już tylko swe własne, lub cudze, ongiś młodociane prawdy. Żyje rutyną przebrzmiałych doświadczeń, a temperatura jego twórczości jest niska, nie promieniuje siłą życiodajną i nie zapładnia otoczenia, natomiast młoda idea artystyczna ma siłę zagrzania i roznamienienia artysty, ma moc wykrzesania zeń bezcennej szczerości i bezpośredniości, które się wiąże z koniecznością zdobywania nowej, nie wytartej prawdy. Mimo całą konieczność tworzenia nowych prawd artystycznych, nieprzemijającą i trwałą jest również wartość tradycji, mądrość jej sędziwych doświadczeń, a miarą wyżyn kulturalnych jest umiejętność wiązania idei nowych z uświęconymi przez tradycję. Tylko w środowisku wysoce kulturalnym proces tej walki o formy nowe dokonuje się prawidłowo i logicznie w słusznym odgraniczeniu tradycyjnych norm. Takim środowiskiem jest właśnie Paryż. Żadne ze środowisk artystycznych nie podchwytuje i nie realizuje tak chętnie najnowszych idei artystycznych, a zarazem właśnie w Paryżu najmłodszy nowatorowie nie wykołują się poza normalne tory tradycji malarskich. Obrazy Bonard'a, Renoir'a, Cezanne'a czy Van Gogha nie są sprzeczne w istotnych momentach z obrazami Flamincka, Segonsacka, Matisse'a lub Soutin'a. Patrząc na płótna artystów tych dwóch pokoleń, widzimy ciągłość ich pracy, jej normalną i rozumną ewolucję.

Od pewnego czasu szerzy się u nas barbarzyński pogląd, że sztuka Zachodu jest zdeprawowaną i chyli się ku upadkowi, co więcej, że od Wschodu należy oczekiwać odrodzenia się sztuki. Lekceważenie cudzych wielkich wartości, wypływające z chęci stworzenia zupełnie niezależnej sztuki rodzimej, odurzyło odłam naszych artystów i społeczeństwa; jednak idea ta wydała dotąd tylko ujemne rezultaty. Coraz bardziej staje się pewnym, że zupełnie niezależna i oryginalna egzotyka pozostawać musi na prymitywnym i niskim poziomie. Zachód ma swe wielkie tradycje, w cieniu których rozwijała się dotąd i nasza kultura i właśnie dzięki europejskiemu poziomowi największych naszych artystów, sztuka ich zdobyła trwałe i nieprzemijające wartości. Wspomnijmy choćby tylko Fredrę, Chopina i Rodąkowskiego.

Nasza prasa codzienna, poświęcając omawianiu wystaw część swych łamów, czyni to zazwyczaj bardzo konwencjonalnie i technicznie. Dochodzą do głosu i cieszą się popularnością opinie mdłe, przeciętne, pozbawione

wszelkiej misji ideowej, co więcej próby wypowiedzeń fachowych i oryginalnych spotykają się z protestami licznych miernot.

Przechodząc z kolei do omawiania ostatnio otwartej w Tow. Sztuk Pięknych w Poznaniu wystawy „Zwornika“, stwierdzić należy, że jest to pierwsza wystawa w tym Salonie bieżącego sezonu, która posiada aż kilkanaście poważnych płócien. Widzimy tam kilku malarzy zdolnych i aczkolwiek nie mają oni za sobą jeszcze zbyt długiego okresu pracy twórczej, zdążają drogą najwłaściwszą i przeto należy oczekiwać tem poważniejszych rezultatów w przyszłości.

Emila Krchy obrazy oglądaliśmy w Poznaniu kilka lat temu. Wówczas zależnym był jeszcze zbyt niewolniczo od szkoły Kamockiego. Później przeszedł okres stylizacji motywów ludowych, jednak okres ten nazwać należy niefortunnym (Pochód Janosików). Dopiero pod wpływem Paryża wraca artysta do bardziej realnego traktowania tematów, a z czasem do pięknego malarskiego opracowania ich. W pracach tych znać wyraźny wpływ, jednak są one przetrwone i pogłębiają twórczość artysty. Naogół w pracach Krchy charakterystyczną jest zwarta jednolitość płaszczyzny obrazu, wprowadzona do ciemnej gamy tonów, kolorystycznie bogatej w subtelne półtony. Położenie barwy śmiałe i nie liczące się z konwencjami formy, a całość obrazu świeża, oryginalna i bogata. Emil Szinagel — to subtelny artysta, mieszkający ostatnio przez szereg lat i cieszący się powodzeniem w Belgii. Również u marszandów paryskich spotyka się dość często obrazy tego malarza. Ton jego płócien smętnie szary, czasem tylko barwa nabiera żywszego nasycenia. Adam Gerzabek operuje barwami bardziej czystymi, ale też i bardziej surowymi. Jest niewątpliwie dobrym malarzem, który wiele umie, jednak zarazem w wyrazie mniej nowy. Sperling Jadwiga wykazuje wielkie poczucie koloru, zwłaszcza w martwej naturze z rybami, natomiast Ritterówna Maria łączy szczęśliwie muzealne tonacje z formą klasycyzującą i fakturą nowoczesną. Szczególnie dobrym jest akt chłopczyka. Szczyrbuła i Stapiński zbliżają się do kolorystycznych zagadnień wyżej wymienionych, Milli Zygmunt ma interesujący rysunek, a barwą operuje naprawdę jeszcze nieśmiało, lecz kulturalnie. Godne są uwagi na wystawie „Zwornika“, dobrze dobrane ramy i patynowane na sposób paryski.

Voilà!...

„Młody artysta introligator Władysław Grabowski“. — Skreślił S. M. — 19 Poznań 32. — Nakładem Towarzystwa Bibliofilów Polskich. — Odbito na papierze bezdrzewnym w Rolniczej Drukarni i Księgarni nakładowej w Poznaniu w nakładzie 120 egzemplarzy. Składał Kajetan Burkert i Władysław Jachczyk. Tłoczył Leon Flaum i Helena Grzybowska. Druk ukończono 17 grudnia 1931 r. (Str. 9 nl. + 16 nl. + 7 tablic).

Niedawno Polska i Francja obchodziły dwudziestą rocznicę narodzin czeladnika Władysława Grabowskiego; z tej okazji ruchliwe Tow. Bibliofilów Polskich w Poznaniu wydało o nim monografię. Znany bibliofil S. M. skreślił na niespełna pięciu stronkach szczegółowy życiorys młodego jubilata; dowiadujemy się z tej tak pożytecznej i niestety tylko w ograniczonej treści i ilości egzemplarzy wytoczonej książki między in., w którym roku Grabowski „ukończył nauki gimnazjalne, zdawszy egzamin dojrzałości“, kiedy złożył egzamin na czeladnika, że mu służyła wojskowa dwukrotnie przerwała naukę itd. Do tej wyczerpującej biografii dołączono kilkanaście purtych kartek, prawdopodobnie poto, by czytelnik mógł w miarę potrzeby sam dopisywać dalsze, co ważniejsze wypadki z życia Grabowskiego. — Na 7 tablicach zreprodukowano z profilu i en face dzieła zbiorowe Grabowskiego, mianowicie oprawy 2 książek. — Voilà!

A. M. Sw.

(Składki na pomnik Grabowskiego, który z okazji 30-lecia Jego narodzin ma stanąć na dziedzińcu Państw. Szkoły Zdobniczej, przyjmuje redakcja naszego pisma).

Abonujcie

Dwutygodnik Literacki
Konto P. K. O. 205.044

W Poznaniu możesz zaprenumerować

Dwutygodnik Literacki
w „CZYSTOPISE“ Św. Marcin 43.
w księgarni J. Dippla. Pl. Wolności 11.



Recital taneczny Marceli Hildebrandt

Po debiucie w Berlinie wróciła do Poznania, swego miasta rodzinnego, klasyczna tancerka Marcela Hildebrandt. W niedzielę 13. ub. m. odbył się tu pierwszy jej samodzielny występ. Publiczność nasza oklaskiwała jej bogaty i piękny recital entuzjastycznie. Okazuje się, że w mieście naszym jest liczne grono jednostek, posiadających zrozumienie dla tego rodzaju sztuki i uznanie dla wysokiej umiejętności naszej artystki. I istotnie — w produkcjach jej „ruchowej plastyki“ jest tyle harmonijnego opanowania i skoordynowania całości ciała, tyle klasycznego umiaru, powagi artystycznego przeżycia i wewnętrznej skupienia, tyle daru wyrażenia tego nacewioną w samodzielnej i celowej ekspresji ruchu, że zdaje się, iż nawet laików nieobeznanych ze sprawą, musiała porwać swą sztuką, zniewolić do odczucia poważnego nastroju produkcji i wznieść na wyższy poziom, daleki od przeciętnych baletowo-tanecznych wyczołń. Każdy gest i moment bogatej i logicznie rozwijającej się (na tle akompanjamentu muzycznego) kolejności ruchów, zawierał pełnię piękna żywej rzeźby klasycznej, a maska — posagowy spokój. Z pośród kostiumów najbardziej stosowne wydają się skromne, czarne trykotowe ćwiczebne. Przystaniają one tylko tors, ukazując (na tle ciemnych jednostajnych kotar) wyrazistą linię rąk i nóg, tych najbardziej żywych ekspresyjnie części ciała. Występ był poważnym sukcesem i należy oczekiwać, że i w innych miastach artystka potrafi podbić serca publiczności. Życzymy jej dziś na początek kariery artystycznej, by szczęśliwie i godnie reprezentowała młody, budzący się do bujnego życia artystycznego Poznań. W. L.

OD WYDAWNICTWA

W chwili, gdy numer pierwszy „Dwutygodnika Literackiego“ szedł na maszyny drukarskie, członkowie „Promethidionu“ i „Klubu Poetów“ zrezygnowali z jakiegokolwiek współpracy z naszym wydawnictwem.

Notatka, iż „Dwutygodnik Literacki“ ukazał się nakładem „Promethidionu i Klubu Poetów“ pozostała przez przeoczenie korektora i nie odpowiada rzeczywistości.

J. DIPPEL

Księgarnia i skład nut
Wypożyczalnia książek
Poznań, Pl. Wolności 11

„Czystopis“

Biuro przepisywań, powiełań
i tłumaczeń. — Porady prawne —
Skład materiałów piśmiennych
Poznań, św. Marcin 43

Klisze

dla „Dwutygodnika Literackiego“
wykonał
Zakład Chemigraficzny
Antoniego Fiedlera
Poznań, ul. Długa 11

Post scriptum...

I zaczęło się...

Tak jak to zwykle bywa, wszedł na podium jeden z młodych poetów i przemówił do zebranych. Podziękował za przybycie, oznajmił, że jakiś artysta dramatyczny zrobił im zawód, więc sami muszą recytować swoje utwory. Zaznaczył, że to może nawet lepiej, bo to będzie tak bardziej swojsko i bezpośrednio.

I zaczęło się...

Jeden, albo jedna po drugiej, kolejno zajmowali miejsce przy katedrze i pieścili uszy zebranych słuchaczy swą cudną wymową.

Oddawali swym głosem najdrobniejsze i najtajniejsze drgania duszy, które zakłęte były w cudny rytm wiersza.

Cóż to była za przebogata skala talentów recytatorskich!

Od naiwno - lirycznej, Panny X., kończącej każdą strofę wiersza znakiem zapytania, aż do ponuro - groźnego pełnego pesymizmu Pana Y., który nawet nazwiska autorów zapowiadał głosem nabrzmiałym od bólu i tajonych łez.

Dzięki genialnej recytacji, widziałam „oczami duszy“: rzeki — zawsze zielone, ziemię brunatną, pierś alabastrową, usta gorące, miłość czerwoną, serce łaknące, duszę tęskniącą, księżyc na guzik do nieba przypięty i wiele, wiele takich niesłychanie frapujących, oryginalnych i zupełnie nowych określeń.

Zebrała publiczność darzyła autorów i recytatorów gorącymi oklaskami.

Zwykle zaczynała jakaś pani mecenasowa, za nią córeczka, takie rozanielone „dziewczec polskie“, a za nimi protektory, rodziny, koleżanki i koledzy (rzadziej, jak to zwykle bywa).

Wszystko odbyło się grzecznie, ładnie i składnie, ale...

I to „ALE“ jest najważniejsze.

W epoce naprawdę genialnych wynalazków, maszyn, sportu i trzeźwości, w epoce, gdzie dostrzeżona przelotnie nóżka, już nie wywołuje „purpurowej mgły“ przed oczami, a „obłędne uniesienia“ i „zmagania się z jaźnią“ są papierowymi efektami. W epoce krytycyzmu i drwiącego uśmiechu, nie mogą przemówić do człowieka kliwio - sentymentalne obrazeczki, ujęte w poprawne formy ustalonych kanonów poetyckich.

To jest stanowczo za mało.

Od poezji wymagamy, aby krystalizowała, wyprzedzała i tworzyła nowe hasła i idee ludzkości.

Trzeba więc już skończyć z sentymentalizmem, z roztkliwianiem się nad sobą, nad przydrożną wierzbą i nad jakąś królową, która nie wie, do czego dąży i czego pragnie.

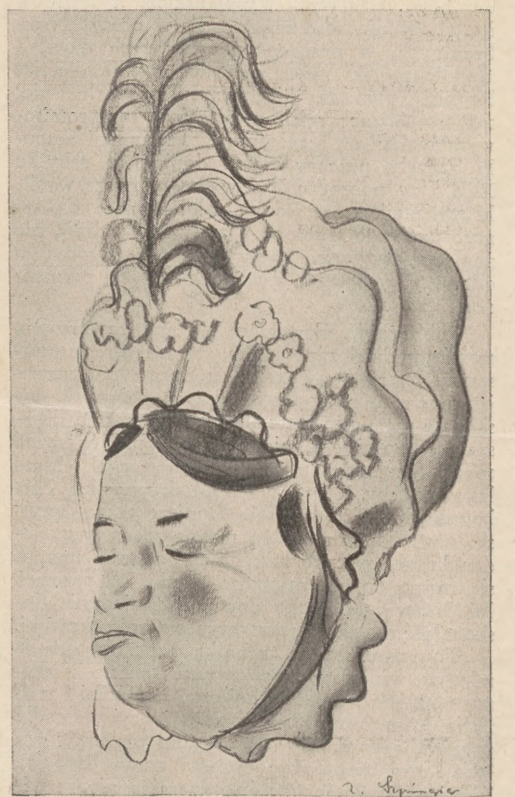
My młodzi chcemy treści, czynu i zdrowych idei, a nie słów i gnuśnego sentymentalizmu.

Wśród występujących poetów już dziś są jednostki zdające sobie sprawę z konieczności innego ustosunkowania się do życia. Ale jakaż to nieśmiała mniejszość i „zagruhana“ przez resztę.

Na domiar złego, ławki na sali były tak ascetyczne, że człowiek, przekraczający rozmiarami 1 m. X 25 cm., nie mógł się na nich „jako tako“ zmieścić.

S. O. S.

Z TEKI KARYKATUR Z. SZPINGIERA



Artystka „Teatru Polskiego“ w Poznaniu — Wierzejska, jako „Ciocia“ w „Swierszczu za kominem“ Dickensa.



Artysta filmowy William Powell

PRENUMERATA z przesyłką: 10 zł. — rocznie, 6 zł — półrocznie, 3 zł — kwartalnie.
OGŁOSZENIA: za wiersz szerok. 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 gr. Kolumna posiada 4 szpalty.
KONTO P. K. O. — 205.044

REDAKCJA: Poznań, ul. Piekary 6. m. 6 we wtorki i czwartki od 15 — 16. — ADMINISTRACJA: TADEUSZ KOCHAN, Poznań, ul. Jasna 4. m. 4. — codziennie od 15 — 16. —